

# TYGODNIK WILENSKI.

N. 22.

Dnia 30. Listopada 1821. roku v. s.

---

## PROSTAK WIEYSKI DO ARGUSA MIEYSKIEGO.

---

*Mości Panie Redaktorze Tygodnika  
wileńskiego!*

**K**to się urodził przed połową wieku przeszłego, kto zwiedził całą prawie europeę w zamiarze doskonalenia się w naukach, w widokach poznawania ludzi albo w obowiązkach służby wojenney, kto potym nasycony światem, usiadł w szczupley zagrodzie i ściśle rozbięrał wszystkie swe doświadczenia; ten, ma prawo wyrzec coś o sztuce tak trudney życia towarzyskiego w piśmie WMPańa przeznaczoném, zdatniemi się, dla podobnych przedmiotów.

Zmuszony różnemi interesami, a czasem znudzony iednostaynością wieyską, zwiedzam niekiedy Wilno, iako sąsiad tego miasta. W towarzystwach mniej znaiomych milczę, albo z przykrością, kiedy niekiedy coś przebękiwam. W gronie dobrze znaiomych, zwłaszcza przy wesoley biesiadzie, bywam gadatliwym, a osobliwie, gdy idzie o materye powabnieysze;

w publicznych zaś miejscach iestem tylko widzem i sluchaczem: a że umiałem skrzętnie od piérwszey młodości oszczędzać siły me żywotne, przeto i dzisiay ciało me zwątlone, ma umysł dosyć krzepki, przytomny, a czasem i bardzo trafny w sądzeniu. Dla tego skreślił krótko moję własną biografią, abym iakąkolwiek ufność ku sobie wzbudził.

Zaznaiomiony z wielu osobami, bywam w wielu domach i postrzegam niemal wszędzie P. Argusa, potomka prawego ze świętney rodziny Argusów starożytnych. Bynajmniey odeń nieznaney, a siedząc albo gdzie w kąćniku, albo przy stole na ostrym końcu, przysłuchuję się nader wygodnie wszystkim iego zdaniom i rozumowaniom. Żał mi nieraz, że ten młodzieniec, skądinąd obdarzony przymioty dosyć znamienitémi, wpadł na myśl niebezpieczną, często sobie a zawsze drugim szkodliwą, wyszydzenia lekkich wad obcych, i niektórych stosunków towarzyskich, które podług obecnego składu przyrodzenia i ludzi, muszą prawie być konieczne. Mój Boże! pomyślałem sobie, zacóż ten młody człowiek dręczy siebie i drugich z umysłu, iakby niedosyć było na klęskach, które poniewolnie trapią biédnego człowieka wewnątrz i zewnątrz! Ponieważ zwykłem śledzić pilnie przyczyny wszystkich skutków, dochodziłem więc powodu takiego postępowania.

Nim atoli to odkryję, wyłożę wprzód kilka wyroków Argusa, a później podam sposoby do uniknięcia stanu tak przykre-go, co może wielu posłużyć za przestro-gę.

Byłem raz u Starościney, kiedy Argus rozdąsany, dawszy się już słyszeć na wscho-dach z pamiętném owem: „*Quousque tan-dem!*“ (jest bowiem z niego filolog dość biegły), wpadł do pokoiów z naieżonémi włosami, i wygadywał dzikie rzeczy na hrabinę; posądzał ją o zalotność, zarzucał płochosć i skazywał sposobem sądowniczym na *infamię* wieczną i doczesną. Wierzay mi iednak młodzieńcze, co ci powiem, ia-ko znaiący ją od pierwszego dzieciństwa pod wychowaniem matki czuwaiącey i roz-tropney, że gdybyś przy cieie Adonisa miał przymioty siedmiu mędrców greckich, nie wyprowadzisz iey w pole. Jedno zuchwa-łe spóyrzenie, ukarze natychmiast gromią-cym wzrokiem, upokorzy cię i całkiem zmiesza. Zna ta czaruiąca kobiéta, że iey płeć iest kwieciem w rodzaju ludzkim, że ją wrodzona skłonność wiedzie do chęci po-dobania się; lecz też przez troskliwe wy-chowanie i czuwanie nad sobą, umie ona tę skłonność trzymać na wodzy, i nigdy nie wykroczy przeciw skromności, temu urocznemu we płci żeńskiej powabowi. I na cóż ta skwapliwość w sądeniu niepo-znawszy dobrze osoby? Alboż to znaczyć co będzie w głowach dojrzałych?

Pewnego wieczora zaszedłem do Marszałka, którego cała publiczność uwielbia iako rozsądnego, gorliwego w rzeczach prawych i czynnego obywatela. Zastałem już Argusa piorunującego na szlachtę. Dowodził, iż to jest gąsienica w rodzie ludzkim, a w mocnym uniesieniu szkodliwość iey ze szkodliwością żydów porównywał. Wszyscy się bronili iak mogli; niektórzy dosyć mocno. Zapytany od Marszałka o zdanie w tym przedmiocie sporu, odpowiedziałem lakonicznie; iż wiele rzeczy na pozor inaczej się wydaie, iak gdy są rzeczywiście i istotnie rozważone. P. Argus z tryumfującą miną rzecz mi przerwał, mówiąc, że to jest odpowiedź nadto ogólna; iestto angielskie siodło na każdą szkapę. Wyzwany tak rubasznie, musiałem stanąć w szrankach i daley myśl moję popierać. Powiedziałem, że się świat nie rusza podług uroień nauki acz naymoralniejszey z xiąg wyczerpaney, lecz podług przeznaczeń nadanych mu od natury, tey iedyney i wielkiej mistrzyni (*natura daedala rerum*); że błądzi ten, kto chwile bytu swego, bierze za stan nieodmienny rzeczy ludzkich; że w świecie moralnym i politycznym, iak w fizycznym wszystko się rozwija do pewnego zamiaru, a zatém środkowych ogniw tego niezmiernego łańcucha przemian, nie można i nie należy brać za stan trwałe rzeczy; że rozważnemu po-

strzegaczowi daie się widzieć wyraźnie epoka naywyższej doskonałości, do której rod ludzki zbliża się mniej lub więcej. Wywiodłem ztąd daley, iż pierwiastkowa szlachta, byli to rycerze zdobywający, albo stający mężnie w obronie swych osad, więc zasługiwali za to poświęcenie się na iakiś odróżnienie. Sama natura, odznaczając dobitnie stany rolniczy i przemysłowy, wskazała, że chce mieć osóbný stan rycerski do pewnego czasu, który też odpowiadał i odpowiada aż dotąd godnie swemu przeznaczeniu, przyczyniając się wszelkimi sposoby do udoskonalenia społeczności. Pierwsze klasztory, te przybytki nauk starożytności, kościoły, gmachy publiczne, zakłady naukowe; wszelkie wielkie przedsięwzięcia, któremi się przez niewiedomość i niemożność dwa pierwsze stany zajmować nie mogły, wszystkoto było i jest dziełem szlachty. Na to wszystko P. Argus zżymając się złośliwie, kaszłał, chrząkał, kichał, wicherzył swą czuprynę, nazywał myśli moje sofizmatami, gadał że wpadłem w koło obłędne (*circulus vitiosus*), i wykrzyknąwszy donośnie: „*o tempora! o mores!*“ pożegnał towarzystwo podług wszelkich przepisów wytworney grzeczności, co mu się bardzo pięknie udało.

Na przechadzce publiczney podśluchałem, iak nasz ostrowidz powstawał mężnie

przeciwko zbytkom. Zamożny w koncepcja prawodawców oszczędności, wymierzał każdemu iakby cęrklem okres sposobu życia. Krzyczał, na co te kosztowne szale, chustki, materye, sprzęty, powozy, palace, pasztety, sosy, i. t. d. Kucharzom wypowiedział otwartą wojnę, Cukierników wygnał, rzucał nawet pociski na doskonałych modnych krawców i szewców; wyraźnie dawał poznawać, iżby żądał udoskonalony we wszystkim przemysł wieku dziewiętnastego, zwrócić do karbów wieku ósmego lub dziewiątego. Słyszając, że tey rozprawie wszyscy współtowarzysze przechadzki potakiwali, nie śmiałem wdać się w walkę tak nierówną. Skonczyło się więc na rozmowie z samym sobą, czyli na samych myślach, z których wymieniam tu niektóre — Przechadziąc się często po polach, a mianowicie po ogrodach, zawsze się zdumiewam nad harmoniczną niezmierną rozmaitością w całości królestwa roślinnego, lubo pojedyncze rośliny różne są między sobą co do składu, piękności i użytku. Nigdy mi się atoli nie zdarzyło słyszeć, aby hyzop, wrzos, pokrzywa, piołun, brzoza lub wierzba szemrały z zawiści, pozierając na róże, goździki, morele albo lipy. Zaniechano też, z pociechą dla wszystkich miłośników piękney natury, zasadzać ogrody symetrycznie, obcinać, ostrzygać drzewa i tym spo-

sobem napelniać rozległe przestrzenie wymuskanemi *karykaturami* roślinnemi. Otoż porównanie z całością ludzkiej społeczności. Pozieraymy podobnie na ludzi i nie bierzmy się skwapliwie do reformy. Chatka i pałac, wozek i karéta, suknia galonowana i odzież skromna, stół wytwornie, ozdobnie ustawiony i strawa oszczędna, wszystko to bez żadnego uszczerbku towarzystwa razem być może. Porobić wszystkich bogatymi albo ubogimi, niepodobna; bo w pierwszym razie byłoby niesprawiedliwie odbierać komuś własność siłami osobistemi nabytą, a nadto trzeba byłoby ieszcze nauczyć sztuki używania rozsądnie bogactw, co nie iest rzeczą zbyt łatwą; w drugim razie, nierówność sił przyrodzonych zniosłaby wkrótce równość ubóstwa. Zbytki w użyciu fizyczném, samo przyrodzenie karze surowo; marnotrawstwo lekkomyślne, pociąga za sobą okropne skutki; ale możnemu przepisywać dowolnie sposoby używania własnego majątku, iest to naruszać wolność iego naydotkliwiey, odbierać mu wolę, smak i wszelką chęć do działania użytecznego w społeczności. Naywytwornieyszy przepych bogacza rozsądnego, utrzymuie w dobrym bycie liczne rodziny: iestto dąb rozłożysty, cień konarow iego opiekuńczy, służy za schronienie tysiącom małych roślinek. Kto z niedostatku rzeczywistego lub z umysłu gar-

dzi *cynicznie* bogactwem i dobrém mieniem, taki pospolicie wystawia się na pośmiech lub politowanie. Diogenes wchodzi do pięknego mieszkania Platona, rzuca na ziemię bogate jego wezglowie i mówi: „depce wyniosłość Platona;“ na co mu dostatni mędrzec odpowiedział: „innym rodzajem wyniosłości.“

W publicznym domu na kawie, podobalo się Argusowi probować swej wymowy przeciwko Kasztelanicowi. Gadał, że to jest człek próżny, dumny, skąpy, że się udaie za miłośnika sztuk i nauk. Znaiąc dobrze Kasztelanica w różnych stosunkach życia, nie mogłem przewieść na sobie, że bym się nie wdał w rozmowę. Znaszże Pan mówiłem, doskonale tego, o którym tak śmiało i z taką pewnością wyrokujesz? Nie-  
jestem z nim w żadnych związkach, raczył P. Argus odpowiedzieć, lecz widzę go niekiedy tam i ówdzie.— Ale to widzenie niekiedy tam i ówdzie, nie jest dostatecznym do sądzenia o czyimś charakterze. Cobyś Pan na to powiedział, gdybyś widział ciągle własnemi oczyma, że ten sam Kasztelanic, tak niekorzystnie odmalowany, jest przyiacielem we wszystkiém porządku najsćislejszego, otwartym w postępowaniu i wszelką się obłudą brzydzi; lubi przyiemność, lecz użytku nie zaniedbuie, w całém urządzeniu swego domu może być dla drugich wzorem, cierpiącym ochoczo pomoc



niesie, z podwładnymi obchodzi się zawsze naygrzeczniej i nayłagodniej, a to dla tego, aby wraze potrzeby, okazanie niechęci naymniejszey, wskazało chybiającemu jego błędy, przez co można się obejść bez hałasu i fukania, środków pospolicie używanych z domownikami — Powiedziałbym, rzekł Argus tonem wyniosłym, że postępie roztropnie, iednakże i wtedybym nie zgrzeszył bardzo, gdybym ucinkiem iakim upokorzył Arystokratę — Ale za coż go upokarzać? Wszakże możność i bogactwa mogą się łączyć ze znamienitými przyniotami i zasługami. Ma te przynioty tentak nazwany Arystokrata, w większey podobno ilości od nieiednego Demokrata. Czciogodni ludzie kochają go i poważają: zna on świat dobrze. Niedolężną muchę spędzi z nosa; lecz biada komorowi, który go mocno ugryzie.

Z tego wyvodu krótkiego okazuje się, że P. Argus sądzi o rzeczach niedoyrzale, i ie maluje bez potrzeby tak czarnými kolorami. Przyzwoiciey byłoby, dogodniej dla własney i drugich spokoyności, patrzeć na to wszystko okiem przenikliwém *Optymisty*, niżeli się przeistaczać w bociana, dla oczyszczenia świata z wad bardziey uroionych, niż rzeczywistych. Odmiany w stosunkach towarzyskich uskuteczniają się z góry przez działania walne Rządu, zastosowane trafnie do okoliczności miejscowych;

daremne są w tym względzie wszelkie usiłowania prywatnych. Lekkie wady wynikające z ułomności w charakterach, albo z mniemań i zwyczajów panujących, prostują się same i poprawiają przez ścieranie się z mniemaniami przyzwoitszemi i ze smakiem delikatniejszym; niekiedy też pomaga tu sól attycka, byleby przyprawy tey używać z pomiarkowaniem, lepiej w każdym razie niedosolić, niż przesolić. Powinienby wiedzieć P. Argus, iż chcąc sprawować użytecznie urząd Katona w społeczności, trzeba mieć za sobą ieszcze, prócz największey bystrości władz umysłowych, powagę wieku, która przez doyrzałość doświadczeń wzbudza ufność, i nikogo nie gniewa; w uwagach zaś młokosa z brodą przyprawioną, pomimo naypilnieysze nad sobą czuwanie i błyszczące pozory, że się pisze w naylepszym zamiarze, zawsze się przebijając będzie namiętność, burzliwość i płochłość młodociana, albo chęć popisu z talentem pisania, a to wznieca podeyrzenie względem czystości zamiarów, obrusza słusznie rozsądek starszych i chybia skutku zamierzonego. Dla tego należałoby mieć to zawsze w uwadze, kiedy czy iedna osoba, czyli też towarzystwo iakie wdziewa na się togę cenzorską. Towarzystwo takie, gdyby się składało z członków różnorodnych, a zatem ubiegających się bardziey za iskrami dowcipu, aniżeli za iasną pochodnią,

przyświecającą dobrym obyczajom, nigdy by celu swego nie osiągnęło. Jedni nazwaliby to składem iadu, truiącym spokojność towarzyską; drudzy widzieliby w tém wskrzeszenie owych, za dobrych czasów, naiemnych trefnisiow, którzy niedoleżnym bogaczom wstrząsali dla strawności błonę śmiéchu, a niektórzy nawet możeby się osmielili powiedzieć, iż to jest spisek słabych *Plebeiuszów* przeciwko możnym *Patrycyuszom*. Uchoway od tego Boże! odnowiłyby się wtedy sławne przygody Trojańskie, tém okropnieysze przy takiej liczbie Achillesów! O Homerze! mężu wielki i niezrównany! utworzyłeś (jak P. Armand uważa dowcipnie) w Iliadzie i Odyssei dwie wielkie bryły djamentowe, którym ani kosa czasu, ani piła zawiści uszkodzić nie zdołaią; lecz ileż ci to trudow mozolnych kosztowało, nimeś w imaginacyi swej twórczey, wynalazł rysy do wydania z taką stałością charakterów znakomitych. Nie byłoby ci łatwiey tego dokazać, gdybyś się za naszych czasów urodził, gdzie żyjące osoby służyłyby ci za wzór w robotach pędzla twego przedziwnego. Uśmiéchnąłbyś się wprawdzie, patrząc na Achillesów we fraczkach, leczbyś wkrótce dostrzegł, iż dusze nasze potężne godne są żeby ich ciała przywdziały tunikę grecką. Nie prawdaż czytelniku?

Lecz przebóg! cożem nieszczęsny u-

czynił! Wstęp sążnisty! mając rzecz z Argusem. Wybacz stooczny paniczu. Każdy wpadnie w *gawędę*, kiedy mu wiek zakarbuje siódmy krzyżyk na grzbiecie, czem prędzey do rzeczy. Znając dobrze ścisły związek duszy z ciałem, oraz zobopólny wpływ iedney istoty na drugą, doszedłem po ścisłym śledzeniu, że sposób fizyczny życia P. Argusa może się znacznie przyczyniać do uszczypliwey zawziętości i owych posepnych, dręczących wyobrażeń. Często używa diety zbyt ścisley, przekładając królestwo roślinne nad zwierzęce, a piwo marcowe narkotyczne przez bahun i inne mieszaniny Izraelitów, z których nie każdy jest dobrym chemikiem, rodzi w umyśle posepność. Życzę przeto, aby odmienił sposób życia, iadał potrawy smaczne, posiłnieysze i pił dobre wino. Sposób taki życia, nastroi harmoniczniej imaginacją, i zaręczam, iż cały świat lepszym się okaże. Myśli wesole zastąpią miejsce posepnych, i wszystko iak naysobabniey wydawać się będzie. Nieraz ciało i umysł, leczą się nawzajem.

*Si vales bene est.*

P. S. Oświadczam imieniem wszystkich w mey prowincyi miłośników ięzyka narodowego i nauk pięknych wdzięczność nayszczerszą, zacnemu pisarzowi Nrku 257 *wiadomości brukowych*. Stawać w obronie

ięzyka, tey własności drogiey, nayważniejszej i wspólney, gromić zuchwałosc targaiącą się na popioły męża znakomitego; otoż walny zamiar cenzorskiego urzędu. Tymto sposobem Towarzystwo *Szubrawców*, postanowiwszy sobie pewne prawidła przyzwoitości i przystoyności, stało się prawdziwym sądem opinii publiczney. Tey lękaiąc się każdy, musi albo się poprawić, albo ukrywać ze swémi wadami, naczem iuż wiele zyskuie społecznosc. Co za szal, chceć działać na przekorę naturze, usilować zostać *wierszorobem* i wymusić to mechanizmem rzemieślniczym, co może bydź tylko skutkiem swobody umysłowey, natchnienia geniuszu za pośrednictwem sztuki ukrytey naystaranniey. Wszakże nie jest każdego powinnością bydź Poetą! Machina towarzyska nader złożona tyle ma kólek, iż można prozaicznie przyłożyć się bardzo do ruchu iey harmonicznego. Gdyby Pan *Liberaparte*, którego nie znam osobiście, był z mego powiatu, wnioslbym na piérwszém zgromadzeniu szlachty, iżby wysłać do niego deputacyą z prośbą, ażeby albo przestał rymować, albo przez sześć lat przynajmniey czytał z nayzimnieyszą uwagą *Sztukę rymotworczą* przez F. Dmóchowskiego, a mianowicie wiérse następuiące:

Próżno ten Rymotworca na Parnaskie góry  
Chce się lekkomyślnémi śmiało puścić pióry,

Któremu niebo darów potrzebnych nie dało,  
Ani się mu łaskawą twarzą nie rozśmiało :  
Kto ma dowcip ścięśniony, i geniusz suchy,  
Tego Pegaz poziomy, temu Febus głuchy .  
Więc Ty! co niebezpiecznym ogniem zapalony,  
W śliskie się Rymotworców zapuszczasz przegony,  
Niechciey próżno nad wierszów składaniem pracować,  
I nie sądź, że masz dowcip, gdy masz chęć rymować.  
Lecz by zwodne pochopy cię nie omyliły,  
Mierz się długo z twą głową, i probuy twej siły.

*Rosienie 10 listopada r. 1821.*

---

## PRAWDZIWA FILOZOFIJA.

*Wyiątek z Dzieńnika Rossyyskiego Kuryer Europy.*

Alboż nie ten jest prawdziwym filozofem, kto w jakimkolwiek urodzony stanie, iakiekolwiek cierpi nieszczęścia, stale wszystko znosi, i nie sarka? Alboż nie ten, kto śmiało walczy z niepomyślnościami, spotyka wszystkie przygody z niepokonanem mężstwem, z niezachwianą spokojnością duszy, z pocieszającą nadzieją? Tak! prawdziwa filozofia właściwa każdemu zarówno stanowi. Każdy człowiek, który wykonywa iey przepisy, ma równe prawo do podziwienia czułych i dobrych serc.

Zazwyczaj wysławiaią nam nieszczęścia panów pięknem piórem przez druki. Zmianę ich losu malują nam takiemi ko-

lorami, że, zdaie się, chcą w całym rodzaju ludzkim wzbudzić politowanie; a udział, jaki świat bierze w ich doli, pomaga im znosić nieszczęścia: cała przeto stałość ich, jest nie co innego iak owoc chępliwości, nie zaś wspaniałości duszy.

Ale znosić krzywdy, ubóstwo, nieszczęścia, żyjąc w ukryciu; z niezachwianym męstwem i zimną krwią wytrzymywać bolesne ciosy fortuny; o to cecha prawdziwey wielkości, przykład do naśladowania!

Tymczasem, kiedy kłamstwo i pochlębstwo, naydrobniejsze znakomitych ludzi niepomyślności, wystawiają nam w postaci naywiększych nieszczęść; tymczasem, kiedy na teatrach wysilają całą chytróść rozumu i talentów, aby wystawić mniemane ich cierpienia; nikt nie zwraca uwagi swojej na prawdziwe nieszczęścia, które dotyczą ludzi ukrytych przed światem: a czyż mało jest na świecie nieszczęśliwych z klas niższych, którzy w jednym dniu więcej cierpią, aniżeli bogaci w ciągu całego swojego życia? czyż mało takich, którzy wcale nie troszczą się o to, aby drudzy dziwili się ich stałości, ich męstwu, i bez sarkania ulegają nieprzyjaznemu swemu losowi, znosząc codziennie coraz nowsze niepomyślności? Niech sobie drudzy oplakują Cyclerona, Owidiusza, i innych znakomitych nieszczęśliwych, któryeh ca-

lém było nieszczęściem, że usunięto ich od ulubionych mieysc. Mieliby siebie za bardzo szczęśliwych, gdyby tylko umieli porównać się z ludźmi znoszącemi prawdziwe nieszczęścia, żyjącemi w upośledzeniu, z ludźmi, których skargi nie dochodzą do żadnych uszu. Używali wszystkich wygod; mogli zaspakaiać wszystkie chęci swoje, oprócz iedney; mieli przyjaciół, sług, poddanych, gdy tymczasem tysiące podobnych im ludzi, którzy równie czują rozkosze i smutki, snują się po świecie bez pomocy, bez przytułku, nie mając kąta, w którymby się mogli ukryć od zimna, ani kawałka chléba dla uśmierzenia głodu.

Powodem do tych uwag, było niespodziane spotkanie iednego człowieka, którego znalazłem będąc ieszcze dzieckiem. Spotkałem go w maytkowskich lachmanach, na drewnianej nodze, z torbą na plecach. Chciałem wiedzieć co przyprowadziło go do tak smutnego stanu. Dawszy mu iakmużnę, prosiłem, aby opowiedział mi swoje przypadki. Spóyrzał na mnie z twarzą bardziey wesolą, aniżeli zasmuconą, oparł się o swe szczudło, i zaczął opowiadać co następuje.

„Chociaż i cierpiałem na świecie biedę, wszelako nieszczęścia moje wszystko nie tak ieszcze wielkie, iak drugich ludzi. Prawda, straciłem nogę, i muszę dopiero żyć z jałmużny; ale dzięki Bogu, nie mam



większey pobudki złorzeczyć na mój los. Towarzysz mój, który leży dopiero tam na ulicy, stracił obiedwie nogi i iedno oko; a ja, chwała Bogu, nie przyszedłem jeszcze do takiego stanu.

„Urodziłem się w Szrompskim hrabstwie, i zostałem pięcioletnim sierotą po śmierci moiego oycy, który był ubogim rzemieślnikiem. Odesłano mnie do parafialney szkoły; a że oyciec mój nie miał stałego mieszkania, to i nie można było wiedzieć, w jakim mieyscu urodziłem się. W przeciągu kilku miesięcy przeprowadzano mnie ustawicznie z jedney szkoły do drugiey. Widząc, że nigdzie już mnie nie przyymią, przez dziecinność zacząłem był myśleć, że na całym świecie nie masz mieysca, gdzie się urodził. Nakoniec, znalazła się przecie dla mnie szkoła. Miałem ochotę uczyć się czytać i pisać; ale dozorca domu sierot użył mnie do inney roboty. Pięć lat pełniłem mój obowiązek, i byłem ze wszystkiego kontent, oprócz kułaków, któremi mnie nieraz częstowano. Pracowałem na dzień po dziesięć godzin; za to karmiono mnie i poiono. Prawda, nie pozwalano mi wychodzić za bramę, bojąc się abym nie uciekł. Ale co to znaczy! wolno mi było biegać po dziedzińcu, a tego i dosyć. Z domu sierot oddano mnie na wieś do iednego rolnika za parobka. Tu potrzeba było wstawać bardzo rano, a kładź

się bardzo późno: byłem syt, i nie skarżyłem się. Po śmierci gospodarza, wyprowadzono mnie z domu. Przyszło mi do głowy szukać sobie samemu szczęścia; wędrowałem od miasta do miasta; niekiedy znajdowałem dla siebie robotę, a niekiedy po kilka dni nic nie miałem w gębie; zdarzało się cierpieć biędę, ale bywały i wesołe chwile: gdyż złe nigdy nie bywa bez dobrego. Jednego dnia przechodząc przez maiątek sędziego pokoju spotkałem zaiąca; iakiś zły duch skusił mnie abym rzucił na niego kiiém, gdyż iakby umyślnie szedł prosto na mnie. Zaiąc za piérwszém uderzeniem powalił się. Kiedym tymczasem, mając mą zdobycz na plecach, szedł sobie dokąd było potrzeba, przeklęty sędzia, pochwyciwszy mnie za kołnierz, zawołał groźnym głosem: „kto ty taki, hultaiu? kto ci pozwolił bić żwierzynę na moim gruncie?“ Czuiąc się bydz winnym, upadłem mu do nog, opowiedziałem mu moią genealogią, moje przypadki, i ze łzami prosiłem go o przebaczenie. Sędzia, nie dając niczemu wiary, odesłał mnie do sądu. Tam objawiono mi, że za różne łotrowstwa postanowiono odesłać mnie tymczasem do więzienia Newgaté, a potem postąpić ze mną, iak ze zbrodniarzem. Chociaż w ogólności słyszałem wiele nieprzyjemnego o więzieniach; iednak przekonałem się z doświadczenia, że dosyć dobrze

siedzieć w Newgate. Karmiono mnie nie źle, i nie naglono do żadney roboty. Szko-  
da tylko, że tak spokojne życie prędko  
się odmieniło; gdyż po pięciu miesiącach  
odprowadzono mnie na okręt, dla odesła-  
nia do Ameryki razem ze dwiestą innych  
zbrodniarzy. Podróż nasza nie zupełnie  
była pomyślną. Mnie i towarzysów mo-  
ich rzucono na spód okrętu, nie mieliśmy  
nietylko zdrowego pokarmu, ale nawet i  
powietrza; połowa więźniów w drodze po-  
umiérała, a druga ledwo żyła. Nako-  
niec, wysadzono nas na brzeg i oddano dzier-  
żawcom plantacyi. Termin moiey kary  
ciągnął się lat siedm. Ponieważ nie umia-  
łem czytać: kazano mi przeto pracować ra-  
zem z Negrami.

„ Po skończeniu tego ciężkiego termi-  
nu, zacząłem zarabiać na siebie abym miał  
za czym powrócić do Anglii. Nie mogę o-  
pisać W Panu, radości moiey, kiedym stą-  
pił nogą na oyczystą ziemię, lękając się,  
abym powtórnie nie dostał się do więzie-  
nia za próżnowanie, pozostałem w mieście  
i pracowałem na żywność. Nieiaki czas in-  
teresa moie były w bardzo dobrym stanie,  
gdyż daleko więcej zarabiałem, aniżelim  
się spodziewał. Jednego wieczora spotka-  
ło mnie wcale nieprzyjemne zdarzenie.  
Kiedym szedł na swóy nocleg, dwóch ludzi  
schwyciło mnie na ulicy, powalili na zie-  
mię, i kazali abym się nie ruszył: bylito wer-

bownicy, którzy zaciągali żołnierzy do morskiej służby. Panowie ci, powlekli mnie do sędziego pokoju, który widząc, że nikt się za mną nie wstawia, nie czyniąc dalszych badań, wydał wyrok, że, iako człowiek podeyrzany, powinien obierać iedno z dwoyga, to iest, albo służyć z bronią w ręku, lub też zapisać się na maytka. Wybrałem piérwsze: znajdowałem się na bataliach pod Fonténoa i Lafelte; dostałem w piersi iedną ranę, która, dzięki Bogu, za staraniem półkowego lekarza, zagoiła się.

„ Po zawarciu pokoju, wyprosiłem sobie dymissyą. Chciałem po dawnieyszemu pracować na żywność, ale nie mogłem dla rany, która niekiedy mocno mi dokuczala. Zapisałem się do służby Indyyskiej kompanii. Tu zdarzyło mi się bydź na sześciu bataliach z Francuzami. Gdybym umiał czytać, kapitan zrobiłby mnie pewnie kapralem, ale los nie przeznaczył mnie do rangi. Potém zachorowałem i byłem odesłany do Anglii; mając w kieszeni czterdzieści gwineów, miałem zamiar włożyć moie pieniądze w handel, i spodziewałem się, wielkich korzyści, ale właśnie w tymże czasie znowu rozpoczęła się woyna, a ponieważ rząd potrzebował ludzi, to i zapisano mnie na maytka bez moiej wiedzy; i wprzód ieszcze, nim dopłynąłem do brzegu.

„ Na nieszczęście, nie podobałem się podszyprowi, który utrzymywał, że iestem hultaiem, że iakoby znam dobrze sztukę żeglarską, ale umyślnie gram rolę głupca, ażeby nic nie robić. A ia przysięgam, że ani litery nie znałem z tey sztuki, niezważając wszakże na to, prawie codzien niemiłosiernie okładano mnie kijami. Cztérdzieści gwineów były przy mnie, i ucieszyły mnie w moim nieszczęściu, chowałem ie iak relikwie. Ale niestety! Francuzi zabrali nasz okręt, i odebrali mi moje pieniądze.

„ Wszystkich ieńcow odesłano do Brestu. Wielu z moich towarzysów, którzy nie przywykli do zamkniętego powietrza, poumieralo, ale dla mnie była to nie nowina. Jedney nocy pod szyper zbliżywszy się do moiego łóżka mając przy sobie ukrytą latarnię, rzekł: „ Janie! czy masz siłę i śmiałość rozprawić się z wartą? “ — Gotów iestem wyprawić ią na tamten świat odpowiedziałem, i pochwyciwszy płaszcz, poszedłem za nim. Chociaż nie mieliśmy przy sobie żadney broni, iednak udało się nam szczęśliwie wykonać nasz zamiar. Napadliśmy niespodzianie na wartowników, odebraliśmy im karabiny, położyliśmy wszystkich na mieyscu, i z dziewięcią drugimi towarzyszami pobiegliśmy do brzegu; tam odwiązawszy łódź, puściliśmy się na morze.

„ Trzeciego dnia podróży spotkaliśmy *Dorseta*, iednego z naszych kaprów; chętnie przyjął na pokład ludzi, którzy byli gotowi służyć za kawalek chléba, gdyż umiéraliśmy z głodu. Dotąd szło wszystko dobrze; ale na nieszczęście fregata nasza, która miała tylko dwadzieścia trzy armaty, natrafiła na francuzkiego kapra *nieustraszonego* o czwórtdziestu działach. Nie zważając na przewyższającą siłę nieprzyjaciela, biliśmy się iak lwy. Bitwa trwała godzin trzy, i na tym skończyła się, żeśmy znowu wpadli w ręce Francuzow. Sądzę, że byłbym źle przyjęty w Brest, ale przecie nas tam nie dowieziono, dla tego, że kaper Angielski *Wiper* zaraz na drugi dzień, wyrwał nas ze szpon nieprzyjacielskich.

„ Zapomniałem powiedzieć WPanu, że w bitwach tych, dostałem dwie ciężkie rany, straciłem cztery palce na lewym ręku, i iedną nogę, którą urwała mi kula armatna. Gdyby podobalo się fortunie, abym stracił nogę i palce, służąc na królewskim woennym okręcie, a nie u kapra, to do śmierci utrzymywanoby mnie na skarbowym koszczie, ale stało się inaczey, cóż robić! wszak z losem nie można walczyć; co komu sądzono, to trzeba cierpieć..... Chwała Bogu iestem zdrów, mam dobry apetyt, i teraz nawet póyde wypię za zdrowie WPana. “

Skłonił się i odszedł. Oto człowiek,

rzekłem sam do siebie, który całe życie był nieszczęśliwym, i nieskarży się. Dziwiłem się jego mężstwu, spokojności umysłu, i wniosłem, że przyzwyczajenie się do cierpień, daleko lepiej uczy je znosić, aniżeli wszelkie filozoficzne rady.

A... K....

---

## D U M A N I A

*W czasie przechadzek samotnych, przez JÓZEFA BYCHOWCA.*

---

### M Ł O D O S C.

Gdybyśmy tak z młodości, iak z wieku dziecinnego niewinnie wychodzili, żądalibyśmy nayskwapliwiej zwrócić się do lat młodzieńczych. Młodość iest w życiu naszym wielką uroczystością; w niey byt nasz, cnota i sztuka, wabią nas pieśczołami iak łagodne boginie; w późniejszym wieku odzywaią się do nas z przykazaniami, iak bóztwa srogie. W tymto ieszcze roskosznym czasie, przyiaźń w greckiey wesoley przemieszkiwa świątyni; nie tak iak późniey, w ciasney i posępney gotyckiey kaplicy.

---

Kazimierz był w naypiękniejszym i nayważniejszym wieku podróży ludzkiej do grobu, toiest, miał lat ośmnastcie. Dru-

gi ten dziesiątek życia składa się z dni najdłuższych i najgorętszych; a iako gorąca strefa pomnaża razem wielkość i iad zwiérząt, tak podobnie w gorącości młodzieńczej doyrzewiają rychley miłość, przyiaźń, gorliwość za prawdą, duch rymotworstwa; ale też i namiętności ze swými zębami i pęcherzykami iadowitemi, wzrastają prędzey. W tymto wieku, a często i wczesniey, dziewica przechodzi ze swych lat na uśmiechach strawionych, i kryje swe oko stęskniałe pod zwieszonými gałęziami tey samey żalobney wierzby, pod którą młodzieniec zamysłony ochładza swe piersi i westchnienia. Szczęśliwy młodzianie! w tey ważney chwili wszystkie Gracye, poetyczne, niewieście i sama natura porywają twą rękę, wyraznie tobie się pokazują, i wtedy iestes najszczęśliwszym. O nigdy iuż, nigdy znowu ten drugi dziesiątek życia nie powraea! więcey on ieden ma w sobie przyjemności, niż wszystkie uroczystości nayokazalsze. Jak skoro zaś przejdzie, wtedy się ręka śmierci zbliża do naszych piérsi i oczu. Cokolwiek wtenczas myślimy, lub wyrażamy, straciło iuż powab poranny, a starzec wtedy tylko uczuie żywo widoki świata wyższego, kiedy się nanowo (co bydź może) w młodzieńca przeistoczy.

Nim do pożegnania przyszło, Kazimierz, dręczony smutkiem, przechadzał



się po wszystkich ulubionych miejscach, które opuszczał; stapał zwolna po tym świętym grobie lat dziecinnych; nie opuścił żadnego drzewa, pod którego cieniem spoczywał, żadnego wzgóрка, z którego się słońcu przyglądał: ze wszech stron stawiły się jego oku same zwaliska dzieciństwa przyjemnego. Z tego raju pierwszej młodości, widział za sobą całą wesołą przeszłość, iakby rozkoszną rzeczkę; przed sobą postrzegał liczne drogi i rozległe przestrzenie, po których los tak rychło ludzi rozgania.

Byłato chwila, kiedy m go ścisnął w obecności wschodzącego słońca, przed całą wielką naturą, wznoszącą człowieka ślepego niewidomém ramieniem w obszerne, czyste, nieznané krainy: w takich chwilach słów niepotrzeba, a gdy się co wyrzecz, wyrazy mają moc naypotężniejszą. “ Tu Kazimierzu, mówilem, tu w obliczu niebios i ziemi, przed wszelkimi niewidomemi około człowieka iestestwami, daię ci z rąk moich opiekuńczych pięć wielkich darów; — daię ci niewinne serce — cześć niepokalaną — myśl o nieskończoności — los twój — i nadobną postać. Nie na ziemi to godziny będą cię zapytywać, czyś te wielkie dary utrzymał, albo ie utracił; lecz kiedyś porównywać będą przyszłe twoje życie z terażniejszym.

Nieucalowawszy go, odszedłem; uczu-

cia najlepszey woli głębiey się w sercu  
wrażają, gdy im przez znaki zewnętrzne  
okazywać się nie dozwalamy.

---

W północ nowego roku, starzec stojąc  
w oknie, poglądał wzrokiem doskwierającej  
rozpaczy na nieruchome wiecznie kwitną-  
ce niebo, na spokojną, czystą i białą zie-  
mię; nikt na niej, prócz niego, nie był tak  
udręczonym i bezsennym. Zbliżał się bo-  
wiem już do grobu, okrytego nie barwą  
zieloną młodości, lecz śniegiem starości;  
ale z czémże doń przychodził? z błędami,  
występkami i chorobami, z wyniszczoném  
ciałem, z duszą skalaną, z piersią pełną  
iadu, ze starością pełną żalu. Piękne dni  
iego młodości przemieniły się dzisiay w stra-  
szydła, wskazujące mu ów pogodny pora-  
nek, kiedy oyciec stawiał go poraz piér-  
wszy na rozdrożu życia. Dwie tam były  
drogi: po prawey stronie torem słonecz-  
nym enoty, prowadzi droga do krainy spo-  
koyney, pełney światła; po lewey zaś,  
wśród kretowin zbrodni, wstępuje się w ja-  
skinie czarną, pełną ściekającego iadu, sy-  
kających węzów i ciemnych duszących wy-  
ziewów.

Niestety! węże wisiały mu u piersi;  
a krople iadu wyskakiwały na ięzyku; po-  
znał więc, co się z nim dzieie.

Odurzony niewypowiedzianém udrę-

czeniu, zawołał do niebios: „wróćcie mi młodość! o oycze mój, postaw mię znowu na rozdrożu, abym inaczej obrał!“

Ale iego oyciec i iego młodość, zniknęły już oddawna. Postrzegłszy błędne światła iskrzące się po bagniskach i w dalekim gasnące przestworze, zawołał natychmiast: „jest to obraz głupich dni moich.“ Widział iak gwiazda od nieba oderwana, blyszcząca w swém spadaniu, niknęła na ziemi: „to ja jestem;“ rzekło zakrwawione iego serce, a węże żalu skryły się głębiej w ranach iego.

Obląkana imaginacya wskazywała mu snujące się widma po dachach, a młyn wietrzny wznosił swe skrzydła, grożąc zgruchotaniem iego osoby; zdawało mu się jeszcze, iż w blizkiej trunie szkielet przybierał rysy iego powoli.

W tym odrętwiającym przestrichu słyszeć się daie nagle, iakby daleki śpiew kościelny, muzyka z wieży na obchod nowego roku. Łagodnieysze wtedy uczucia w nim się wzbudzaia; pogląda spokojniey na widnokrąg i na rozległą ziemię, przypomina swey młodości przyiaciół; ci szczęśliwsi i lepsi od niego, byli nauczycielami ziemi, oycami szczęśliwych dzieci, i zupełney używali pomyślności. Rzekł wtenczas: „O gdybym był chciał, mógłbym iak i wy tę pierwszą noc suchém przespać okiem!— Ach! nayukochańsi rodzice, mógł-

bym byż szczęśliwym, gdybym podług waszych życzeń postępował i wykonywał wasze nauki!“

Gdy tak w obłąkaniu przypomina sobie czas swój młodociany, zdaie mu się iak gdyby szkilet z przybranemi iego rysami z truny powstawał. Nakoniec przez zabobonność, która w nocy Nowego roku postrzega duchy i przyszłość, stał się ów szkilet rzeczywiście żywym młodzianem, i w postawie nadobney wystawiał mu gorzko pierwszą iego kwitnącą postać.

Nie mógł znieść tak okropnego widoku; zakrył oczy, a lzy gorące lały się strumieniem po śniegu; w udręczeniu i prawie niezwywy wzdychał tylko cicho: „ O młodości zwróć się, zwróć się raz tylko ieszcze!“

Zwróciła się młodość: był bowiem istotnie młodzianem, tylko mu się w nocy Nowego roku tak straszliwie śniło. Lecz błędy iego nie były snem, ale rzeczywistością. A tak z naygoretszą żarliwością dziękował Bogu, iż, będąc ieszcze młodym, mógł się zwrócić z brudnych manowców występku, a pójść torem słonecznym w krainę płonu i prawey pomyślności.

---

## D U M A.

T Y M O N.

W dzikiey zarośli, na pochyłej skale,  
O którą Dniester rzuca bystre płyny;

Znędzniały Tymon rozwoził swe żale,  
Po zgonie swojey najmilszey Iustyny,  
Na wszystko zimny, głuchy i nieczuły,  
Gubił się w myślach, co mu życie truły.

„ O wielki Boże! o to błagam ciebie:  
Gdy nieszczęść brzemie pożera mię skrycie,  
Lub niech mię woda w swych wałach zagrzebie,  
Lub weź mi pamięć, kiedy nie chcesz życie.  
Sen mię unika, świat o demnie stroni,  
Tylko iey obraz za mną wszędzie goni.

Ona tak miła iak ten dzień wiosniany,  
Kiedy się w kwiatow wonie przyodzieie,  
Weszła do duszy a zadawszy rany,  
Zabrała szczęście i szczęścia nadzieie.  
Dla mnie i wiosna zmienia postać miłą,  
Z iey życiem wszystko życie utraciło.

Roskoszą tchnęły te dzikie pustynie,  
Kiedy po brzegach Dniestru z nią ohoziłem,  
Spokojniey szumiał wicher po dębinie,  
I iam nie płakał, bo szczęśliwy byłem;  
Dziś wszędy burza, tylko wietrzyk miły  
Kołysze trawką koło iey mogiły.

Kiedy w chroście słowik piosnkę nucił,  
Ona mu wzajem przesyłała tony;  
Lecz tamten umilkł, swe siedlisko rzucił,  
Głosem Iustyny jakby zawstydzony.  
Gdy iey głos mamik tę ptaszynę małą  
Ach! któż wysłowi co się zemną działo?

Śmierć nieszczęśliwym pewną ulgę daie,  
Wszak ona zwykła lzy nędzy ocierać,  
I mnie już tylko jedno pozostaie:  
Lub żyć bez szczęścia, albo z niem umierać.  
Zbyt dobrze czuję, iak krew w żyłach stygnie,  
Dziś się śmierć moja, lub życie rozstrzygnie.“

Tak ięczał Tymon, a lasy ponure  
Wydając echa ięki powtarzały;  
Już mrok szarawy zasępniał naturę  
I trzody z pastwisk leniwie wracały.  
Umiłkło wszystko, gdy gwar dzienny znika,  
Tylko znak śmierci, wydał głos puszczyka.

Na tron w milczeniu wyszedł księżyc blady,  
Kryjąc się czasem pomiędzy obłoki;  
Wyszedł i smutek, za nim rozpacz w ślady,  
By dręcząc ścigać śmiertelników kroki;  
A wtem zaiśniał w ponurej żalobie,  
Promyk nadziei na Justyny grobie.

Tak gdy się szerzy postrach dookoła,  
Wkrada się rozpacz do duszy Tymona,  
O! cóż gwałtowna czucia moc nie zdoła,  
Kiedy nią rozpacz kierunie szalona!  
Wznosząc ku niebu na pół martwe dłonie,  
Rzuca się w przepaść i w przepaści tonie.

Odtąd to miejsce iest miejscem boiaźni,  
Kmiotek w wieczornej omiia go dobie  
Tylko ci, których czuła miłość drażni,  
Sadzają róże na kochanków grobie.

I z was cne dusze! niech każda poświęci,  
Kilka łez tkliwych ich czulej pamięci.

T. Baraniecki.

---

## M O D Y P A R Y Z K I E.

W magazynach ubiorów i u szwaczek stroiów naymodniejszych, używają wiele materji koloru (*flamme de punch*). Merynosy w tym kolorze są wyborne. Widzieliśmy takż bardzo piękne pół kapotki w tym kolorze, garnirowane plissą tegoż koloru.

Lecz co naybardziej ściaga uwagę u modniarek, to są zawoie z gazy gładkiej zakręconey w duże rulety, i Tyrolskie kapelusze albo (*à la Jeanne d'Albret*) z czarnego axamitu.

W Tuileries, widzieliśmy kilka szpencerów z axamitu mienionego, którzy wpada w kolor szary, różowy i zielony, na białych sukniach, garnirowanych aż po kolana; i niektóre suknie z *gros d'été*, których garnirowanie składało się z pół więźców robionych z ruletek, po trzy razy w ukos.

Kolor żółtobrunatny i mieniony, *iaki był na płaszczu P. Lavalliere*, używane są na salopy bez futra; podszewka onych różowa, iasno-błękitna, albo biała. Oprócz kaptura, iest ieszcze kolnierz stojący.

Przy wyściciu z teatru *des Bouffes*, u-  
przywileiowanego co do stroiów elegantek  
i najlepszej muzyki, widać często damy  
w salopach czarnych atlasowych, na któ-  
re oczekują bogate ekwipaże.

Bardzo mała ilość osób średniej klas-  
sy, może się stosować do mody, gdyż ona  
nieograniczone ma wydatki.

### MODA GALLO - GRECKA.

#### OBJAŚNIENIE RYCINY Nru II.

*Tunika z szeroką wypustką faldowaną, długa po  
kolana, fałdy zaś te idą aż do samego dołu;  
stan ucięty i marszczony około, z pasem na  
wierzchu równie faldowanym; rękawy proste  
z jednym szwem, i wielu wypustkami okragłe-  
mi. Bez guzików. Najstosowniejsze sukno  
na ten ubior, granatowe lub czarne.*

*Maytki szerokie, faldowane z przodu; bez guzi-  
ków, tegoż koloru co i Tunika.*

*Kamzelka merynosowa albo kaszemirowa zakła-  
dana iedno na drugie, bez guzików.*

*Ten piękny ubior, przyjęty jest od wielu elegantów,  
i wkrótce widziany będzie po największych  
zgromadzeniach.*

---

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komii-  
tetu Cenzury 7miu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczo-  
nych i niewydawania bez biletu. Dnia 20 miesiąca Listopada ro-  
ku 1821:

X. Jędrzej Kłagiewicz K. W. P. P. Z. Czł. Kom. Cen.